



Mieczysław Braun

Rzemiosła

Poezje



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

RZEMIOSŁA

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

MIECZYŚLAW BRAUN

RZEMIOSŁA

POEZJE

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-320 Warszawa
Tel. 25-68-63, 25-52-31 w. 42

WARSZAWA — F. HOESICK

<http://rcin.org.pl>



Wszystkie prawa autorskie zastrzeżone.
Copyright by Mieczysław Braun
Warszawa

F 346.

Druk. „Współpraca“, Warszawa

<http://rcin.org.pl>

I

<http://rcin.org.pl>

GOSPODARSTWO

Zanurzając po łokcie ręce w czarną glebę,
Ogorzałą i twardą patrząc w niebo twarzą,
Widzą słońce, jak bochen, wonny świeżym chlebem,
Dla którego w gorącej pracy gospodarzą.

Rąbiąc las, kiedy dzwonią o pnie ostrza siekier,
I trzaskają gałęzie i grzmot echem dudni,
Już widzą dom zielony, przed domem pasiekę,
Stodołę, pełną ziarna, i żóraw przy studni.

Gdy spoconem południem szpadle w piach uderzą,
Uklepią gęsty nasyp, wbijają w ziemię drągi, —
Już kipi mocna radość, już widzą, już wierzą:
Bez kresu lecą szyny i gwizdzą pociągi!

Jeszcze myśl łaknie myśli i, jak ptak, się zrywa,
Jeszcze trwożna i cicha, jako błysk zarania,
Ale serce już pewne i myśl niecierpliwa,
I tęsknota ogromna, która świat wyłania.

Słońce biegnie po niebie, wstaje wczesnym świtem,
O zachodniej godzinie ciężko w dole broczy,
Strudzone, miesza ciemną swą czerwień z błękitem,
I wieczorny zmierzch zlewa na wieczorne oczy.

Przy ogniskach dymiących pachnie świeżym
chróstem,
Mrok jest gęsty i w górze gwiazdy świecą mocno.
Jak słońce, śpią, okryci w ciemną nieba chustę,
Jak gwiazdy, czuwa szczęście późną porą nocną.

RZEMIOSŁA

Pochwalam żmudną pracę wszelkiego rzemiosła:
Dłonie twarde, jak ręce żeglarzy od wiosła,

Nożyce, szydło, pędzel, obcęgi i piłę,
Dojrzałą sztukę palców, z których twórczą siłę

Czerpie każdy, schylony nad światem warsztatów,
Podobnych do skrytego gdzieś warsztatu światów.

Prędkie, żywe narzędzia, spadające krzywo,
Rzucają się w rozpędzie na bestję nieżywą,

Krają, sieką, zszywają, łamią, żują, toczą,
Aż wyjdzie to, co dziwny plan oddawna począł,

Wyokrągłi się z palców, wykształci, wypławi,
Jak muszla, wyłupana w zastygniętej lawie. —

Na nowe tory, muzo, twój dyszel wykręcę!
Śpiewać mi będziesz kształty, tworzone przez ręce,

Pracę palców i myśli wcielenia tysięcy,
Jej walki, jej zwycięstwa, klęski nieodłączne, —

Te słowa bowiem, walcząc, tak samo ci kreślę,
Ja — sam czeladnik pierwszy w twym świętem rze-
mieśle.

SZEWIC

Gdy tylko słońce zejdzie z kopyta na chmurze,
Tłuczysz młotem po suchej i trzeszczącej skórze,

Schylony, aż garbaty, gdy tłoczy cię brzemię,
Wdychasz zapach garbarni, czyszcząc sztywny
rzemień.

I ostrym nożem krajesz twardy i brązowy
Plaster miodu, wydarty z powłoki wołowej.

Potem świeczki drewniane czerpiąc w starej puszcze,
Łatasz bucik znoszony na kobiecej nóżce.

Gdyś przybił, — słodkim pędzlem w czernidle go
zamaż!

I weź do ręki drugi — mój tragiczny kamasz.

Dziurawiąc zręcznie szydłem wytartą podszew,
Wiesz chyba, dokąd zawsze, zamysłony, śpieszę,—

Czy, tłukąc butem bruki po zdeptanej drodze,
Do jej bramy ukradkiem i szybko przechodzę,

Czy też, idąc po mieście, pod wiatr, jak pijany,
Składam wiersz, wzrokiem cienie zdzierając ze ściany?

Wiesz wszystko, siedząc nisko na drewnianym stołku,
Jak gdybyś przy robocie igłę świata połknął.

KRAWIEC

Przy oknie, wyciągając swą żylastą szyję,
Cały dzień długą nitką zmięty towar szyje.

Mierzy, liczy, aż naraz pozna sekret wielki,
Ukryty pod guziczkiem ciasnym kamizelki,

O którym nikt nie wiedział, zanim sam, jak śmigło,
Nie przekłuł go w powietrzu rozpaloną igłą,

Jak piorunem! — tu znów w stalowe nożyce
Siecze ostro i krzesze z trzaskiem błyskawice.

Niepojęte powoli wyłania znów dziwy:
Z palców wychodzi kołnierz żywy i prawdziwy,

Już się wiję i kręci, przeciąga, jak sznurek,
I miłośnie otacza ramieniem tużurek.

Kładzie go już na deskę upartą i płaską,
Spluwa, czyniąc zakłęcia, i chwyta żelazko

Gorące, pełne duszy, które, sycząc, umie
Ślizgać się najwykrętniej po świeżym kostjumie,

Wysypując popiołu kilka śmiesznych garstek,
Na tłoczący się wszechświat — mały, jak naparstek.

MALARZ

Na ścianach malowane są gotowe wzory:
Kwiaty, owoce, liście, jak długie ozory,

Kreski, kropki i kółka i kręcone linje,
Które kładziesz odrazu, stojąc na drabinie

Przed płaską, czworokątną nagich murów rzeczą,
Malarzu! opryskany kolorową ciecżą.

W wiaderkach, które cicho u stóp twoich klęczą,
Igrasz pędzlem z prawdziwą, gęstą, mocną tęczą.

Potem, stając na szczeblu tuż u samej góry,
Patrzysz na świat przez wąskie otworki tektury,

I barwisz pokój zwykły w rąk ruchomych trudzie,
Świątynię, gdzie, miast bogów, przebywają ludzie.

Czy nie czujesz, wywodząc freski, arabeski,
Że tak samo ktoś zdołał ongi sklep niebieski,

Przez dziurki wzoru, które w litery się plotą,
Konstelacje gwiazd mocą obdając pozłotą?

O! i tybyś to samo mógł uczynić zbliżona,
Tylko szkoda: drabina jest nieco za niska.

ZEGARMISTRZ

Na wystawie za szybą ma wszelki świat czarów:
Zwierzyniec żywych, wiecznie mówiącyli zegarów.

Sam siedzi koło lampki i mały teleskop
Powiększa mu wspaniale źrenicę niebieską,

Przez którą widzi śmiało, nago bez przesłonki,
Kosmos, ukryty zwykle w głębinach kieszonki.

Musi boleć, gdy cienkim pręcikiem przez kratę
Porusza żywe żyłki i kółka zębate,

Gdy wkłada tajemniczy brylant i przewierca
Złotą blachę wskazówką wrośniętą do serca.

Tu już żyje potworek o tak płaskiej twarzy,
Już oddycha i tęskni, o wieczności marzy,

Pożerając czas, który codziennie odnowa
Pod swem szkiełkiem na wieczny zapas ludziom chowa.

Nakręcają go palce, zwijając sprężynę,
Jak nerw z bólu, by słodko wydzwonił godzinę,

Która, — jeśli ma szczęście przynieść, —o, jak długo
Kazać, człowieku, czekać, — swego dzieła sługo.

STOLARZ

Pod żelazem żywica z żywej sosny ścieka:
Podobnie krew z przerżniętych spływa żył człowieka.

Korę z desek chropawych, które pachną świeże,
Zdziera piskliwie piły wielozębne zwierzę.

Twardy pień rozłupuje trójkątem ostrzonym...
Sojusz drzew i żelaza tworzy topór z trzonem,

I zwycięstwo uświęca nad zrąbaną kłodą,
Co może niegdyś długo marzyła nad wodą...

Skrętnie i zręcznie w palcach liczne instrumenty
Potrafią z niej wykrzesać mądre ludzkie sprzęty:

Soły wciąż nieruchome, pełne wielkiej męki,
O czterech nogach, żadnej nie mające ręki,

Szafy o łonach ciemnych, w których się ukrywa
Odzież ciepła i sama jeszcze prawie żywa,

Drzwi, jak skrzydła aniołów przynoszących pokój,
Otwierają codziennie świat wielki, jak pokój.

I wiele innych cudów zdziałać mogą cieśle:
Syn Człowieczy i w takim pracował rzemieśle.

Serce młotu uderza o kowadło w pędzie,
Bijąc, jak serce świata, które słychać wszędzie:

Bo ani się pośpieszy, ani też się spóźni,
Niestrudzenie kształtując świat w powszechnej kuźni.

PIEKARZ

Ciało ciasta kwaszone ciężko spływa z półki,
Kiedy rzeźbi w niem białe, ciepłe, krągłe bułki.

Pod niskim stropem mącznej gorącej izdebki
Obnażone ramiona w miąższ zanurza lepki;

Nożem krając treść ciasta w ścięte ciężkie płaty,
Wkłada je na otwartą, jasną twarz łopaty.

Piec, syty ognia, dyszy i czerwone płuca
Rozszerza, gdy w nie dłonią poparzoną wrzuca

Chlebów z ziarna tartego cieliste miesiwo,
By nad ranem brązowe wydobyć z nich dziwo:

Łakomym zębom pokarm — płód ognia i gleby,
Rodzącym się planetom przyrównane chleby.

Tak samo ongi świata pieczywo pachnące
Zrodziło przecież ziemię, księżyc, gwiazdy, słońce,

Byśmy mogli, toczeni głodem niedorzecznym,
Świat pożerać, posiłkiem sycąc usta wiecznym,

Choć głodu, którym w życiu jesteśmy przeszyci,
Żaden świat ani wszechświat nigdy nie nasyci.

PROMETEJ PRACY

Zanim ustom strudzonym kęs chleba się poda,
Trzeba pługiem twardoziem zeschnięty, jak kłoda,
Przeorać, przerzucając w nim warstwę za warstwą,
Potem w trudzie obsiewać przyszłe gospodarstwo,
Żółte zboże wykłócić, wyczekać cierpliwie,
Aż słońce, w gęstej niwę splukując oliwie,
W ziarnie tłustem,—nim biczem grad je ostrym potnie,
Odrodzi się na polach pełnych siedmiokrotnie!

Potem ostrych żniwiarek we wścieklej gonitwie
Sto pułków puścić w pole! — by, podobne brzytwie,
Podcięły las szumiący pod wiatrem, jak morze, —
W żar południa kłosami kołyszące zboże!
Potem wiatr zaprząć w jarzmo, by wiatrak obracał
I ziarna tarł na mąkę, aż ta wielka praca
Znuży mocne powiewy wiejące przez rżysko,
Sierpnia sierpem świszczące, że już jesień blisko...

Tyle jeszcze jest pracy, którą spełnić muszę!
Dnie dojrzałe są ciężkie, jak brzemienne grusze,

Noce, próżne wytchnienia, myśl kurczą i męczą, —
Ten łuk, napięty w mózgu niedorzeczną tęczę.
Dwie dłonie, jak dwa gromy, biegnące przez puszcze,
Na warsztat, na fortepian mej pracy opuszczę,
Dziesięć palców rozpędzę — miliard kół ożywie,
Wprzęgniętych w pracę myślą o jednym tworzywie!

Tyle pracy mam jeszcze! tyle ciężkich trudów!
Piramidy, wzniesione przez tysiące ludów,
Lasy rąk, armje maszyn — nie starczą, nie zdążą,
Jest pośpiech przy poczęciu przed największą ciążą!..

Muszę domy wystawiać, muszę pietra dźwigać,
Drogi kroić po kraju, w pracy gwiazdy ścigać,
Korę ziemi świdrować, dobrać się do jądra,
W mózg ziemi świdrów kręte wkluć do głębi żądla,
Wyrwać węgiel i pompy wprząc do pracy wiernie,
By naftę ssały w ziemi — olbrzymiej cysternie.
Sturęką tysiǎcpalcą mam do środka dotrzeć,
Jakże ciężkie pokłady twardych zwałów gniołą!
Sturęką tysiǎcpalcą mam do środka dotrzeć,
Wór skarbu z garbów góry wydostać samotrzeć!

Nad morzem muszę mądre pozakładać stocznie,
By mi wielkie okręty rodziły rok rocznie,
Które, ładowne skórą, zbożem albo drzewem,
Ciężko dysząc, pruć fale będą słodkim śpiewem!..

Dla samolotów stacje mam wznieść napowietrzne,
Aby z nich pod obłoki fruwały, bezpieczne,
Wieże radjo budować, by z nad brzegu Wisły
Na wszechświat rozpryskiwać można wieści-iskry.

Na pola Polski, śniegiem okryte przed wiosną,
Gdy wczesne niebo pachnie tak słodko i ostro...
Na lasy, które drzemią, w wieczyste igliwie
Otulone... Przy rzekach, szemrzących tak tkliwie...
Na wsie, wsłuchane rankiem w świągot — rechot —
klekot...

Na drogi, rozpękane od deszczów i spiekot...
Na wrące męką miasta w elektrycznej racy...
Jak wichr wiosny napłyniesz, o, Poezjo Pracy!

Nad plantacje buraków, nad parowe pługi,
Sunie twój owiew świeży, przeciągły a długi,
W fabrycznych halach oddech twój gorący parzy,
Miłosnemi wargami muskając cień twarzy,
Ręce, spięte wysiłkiem, mięśnie, gdy się kurczą,
W spójni ciał, przenikniętych jedną myślą twórczą!

O, poezjo, dysząca tchnieniem pracy szarej,
Świat świeży, jak świat-ogród, wyśnij mi, wyczaruj!
Podaj zdobycz, wydartą pragnieniom, i siłą
Każ być zdarzeniom, których po dziś dzień nie było!

Spłyn w nas, jak rzeka jasna, pluszcząca, na którą,
— Młyn głodny ziarna, — ostre swe wystawiam pióro,
Aby niem poruszała, chłodna i gorąca, —
Bo, jak świat, który żyje tylko z pracy słońca,
Tak ja, w mądrości, która żywy świat przewierca,
Żyję z cichej, największej pracy mego serca.

Na tem miejscu, gdzie czarne rozsiadło się miasto,
Gdzie rosną gęste domy i grzmią trotuary,
Niedawno szumiał jeszcze ciemny las iglasty
I prężyły się drzewom żywiczne konary.

W lesie strumień zielony, na gałęziach ptaki,
W górze słońce-wiewiórka wśród listowia błyska,
Mech cichy i nabrzmiąte półwilgotne krzaki,
Szyszki wonne i drzewna wiatrzana kołyska...

Tu, pośród wrzasku maszyn i niezmiłkiej wrzawy,
Tłum wrzący się przelewa, jak czarna oliwa,
A niedawno step szumiał i milczały stawy,
Jak cisza wniebogłosa, cisza świergotliwa.

Nad bagnem nocą błędne migają ogniki,
Leciały dzikie kaczki nad ciemne moczary,
W trzcinie mokrej, w szuwarach, szeleścił wiatr dziki,
Marszczył wodę z księżycem rzucającym czary...

II

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



— Czemu mnie, srogi Apolo, trapisz,
Serce szponami rozdrapując żywe?
Jak jastrząb, napaść i porwać potrafisz,
Rumaka w górę podnosisz za grzywę!

Skrzydła szumiące, ogniste i szare,
W górze nademną na wichrze trzepocą, —
W dzień wioniesz mrozem, albo buchasz żarem,
Spoczynku nie dasz nawet późną nocą.

Wewnątrz tętenty i szmery i błyski,
We krwi niepokój, w myślach zamęt czuję, —
Strzelec nieznanym już czeka, już bliski,
Hallali! — Słyszę! Apolo poluje!

Ani anielska, ani ludzka mowa
Świata aż do dna wyśpiewać nie zdoła.
Czemu więc dręczysz i szarpiesz mi słowa,
Czemu mnie trapisz i dotąd mnie wołasz?

Wiem tylko jedno w wielkiej głębokości,
Gdzie siła płynie silniejsza od słońca:
Jeślibym śpiewał, a nie znał miłości,
Byłbym, jak tylko próżna miedź brzęcząca.

JEŻELIBYŚ MNIE SPYTAŁ...

Jeżelibyś mnie spytał, któryś jest na niebie,
Jako króla judzkiego pytałeś przed wiekiem,
Czem być chcę, czego pragnę, a dasz mi od siebie,
Bowiem jestem wybranym przez Ciebie człowiekiem,—

Czy mądrości tej, która wszelki byt przewierci,
Czy złota, albo władzy, która świat otworzy,
Czy życia, które wszelkiej ma oprzeć się śmierci,
Czy sławy, którą każdy mój oddech pomnoży? —

Albo mocy ogromnej, wydartej wieczności,
Nie zapragnąłbym również, choć szczęściem napawa,—
O jednobym Cię prosił: daj mi tej miłości,
Przed którą niczem mądrość, moc życie i sława.

LEONARDO

O, Leonardo, czemu jesteś smutny,
Czy serca twego szczęście nie nawiedza,
Ale węż boleść wpija szpon okrutny,
Że ani sztuka cieszy cię, ni wiedza?

O, Leonardo! gdy zmęczonym wzrokiem
Oglądasz słodko malowane płótna,
Czy płaczesz, boskim rażony widokiem?
Twarz twoja blada i ogromnie smutna.

Albo, gdy muza tve czoło owionie,
Albo, gdy zgłębiasz otchłanie mądrości,
Czemu znużone w dół opuszczasz skronie,
O, Leonardo! kto ci łez zazdrości?

Ty, któryś poznał byt i niebyt do dna,
Pojąłeś przecież, że w sercu poczęta,
Jedynie miłość jest miłości godna:
Madonna twoja słodko uśmiechnięta.

GOTAMA

Dokąd uciekasz, Gotamo, dom porzucając rodzinny,
Sławę i władzę rzucając i wszystkie dobra doczesne?
Idziesz na ziemię niczyją, w kraj zapoznany, pustynny,
Wichry cię gonią gorące, rany cię pieką bolesne.

Wzgardą od świata odcięty, obcy zmaganiom i targom,
Szukasz samotnej mądrości, pragniesz równego
oddechu.

Wielki Gotamo, czy ludzkim już przysłuchiłeś się
skargom?

W ciszy twej zali jęczenie nie upodobni się echu?

Twoja to mądrość milczenia męką samotną urasta,
Twoja to męka mądrości marzeń bezmiary wymierza.
Słyszysz: maszyny turkocą, wrzace kotłują się miasta,
Ziemia się kurczy i dudnią kroki pośpieszne żołnierza!

Dzwonią zegary, Gotamo, w głębiach wylęga się
trwoga!

Gwiazdy oglądasz te same, gwiazdy świecące nad
studnie...

Wracaj, Gotamo, powracaj! wszędzie tu pełno jest
Boga,
Życie tu bardziej jest wzniosłe i nawet cierpieć tu
trudniej.

CZYŚCIEC

Ach, tyle płakać! ach tyle się smucić!
Tyle łez wylać! tyle słów rozkrzawić!
Że dusza sama chce ciało porzucić...

Jedna jest miłość poto, aby zbawić,
Więc w nią się wedrzeć! i w niej się rozplynać!
I bez niej nie żyć! przez nią się objawić!

Ach, jako okręt na morzach zaginać,
Kiedy szum głębi ogłusza i nęci,
A jeśli brzegi będą, to je minąć...

Ach, wszystko w błogiej stopić niepamięci,
I byt jedynie przez miłość zachować,
Na którą umrą ci, co z niej poczęci.

Duchu Największy! naucz nas miłować,
W nieskończoności, piekła i rozkosze
Przez nieskończoność, piekło, rozkosz, prowadź!

Jarzmo tve słodkie przyjąłem i noszę,
I śmierć pozamną leży odepchnięta,
Jak przez żebraka porzucone grosz

Każda godzina, jak wieczność, jest święta,
Każde spojrzenie świat nawskroś obnaża,
I każde słowo milczy i pamięta...

A to, com ujrzał, — jakże mnie przeraża,
Jakże widokiem niespodzianym trwoży,
Jak upiór żywy z martwego cmentarza!

Drzę, jako drzewo drży, gdy wichher boży
Ziemię obłuczy w ciemności i w chmury,
I grom uderza i znów lęk się mnoży!...

Ziemia rozbrzmiewa, i straszliwe chóry,
Spłątane krzyki, westchnienia i jęki
W jeden się łączą hymn zły i ponury.

Komu tak wielkiej dopuściłeś męki,
Ty, który ciemna tajemnicą skryty,
Rządzisz światami, jak skinieniem ręki?

Gasisz zachody i zapalasz świty,
I dnie nadsyłasz, i osłaniasz nocę
Płaszczem swym, który gwiazdami spowity.

Słuchaj! na ziemi, w ośleplej pomroce,
Dusze nam wyją, jak psy nad umarłym,
I, jak ptak, serce kwili i trzepoce.

Spieczoną wargą i ochryplem gardłem
Wywrzeszczyć muszę dławiającą nas zmore,
Gdy, jak Piotr, trzykroć ciebie się zaparłem.

Krew jest powolna i myśli są chore,
Słowa się łamią i w krtani się krztuszą,
Język sztywnieje, a twarz w ogniach gore.

Gomoro, straszną objęta katuszą, —
O, Europo, stargana i zżarta,
Z ciałem Hioba i Kaina duszą!

Chóry anielskie i chichoty czarta,
Morza krwi, albo gorzkich łez kropelki
Krzyczą napróżno, jak rana rozdarta.

Świat szczęścia mały, a świat nieszczęść — wielki!
Gąbka goryczy serca nasze poi
Zatrutem mlekiem obcej karmicielki.

Przed zrozpaczeniem cóż się dziś ostoi,
Gdy na wołanie tylko własne echo
Chryplego głosu ciszę niepokoju?

Śmierć niejednemu wyda się pociechą
Jedyną wreszcie, pierwszą i ostatnią,
Pokój niosącą i zagładę grzechom.

Nierozplątana pomyleni matnią
Błęarów i czynów, działanych w obłądnie,
Niewspomożeni w drodze dłonią bratnią,

W stadzie człowieczem, stłoczeni w rozpędzie,
Z ciemności idąc w ciemność pośród mroku,
Oto jesteśmy ci, których nie będzie.

O, dni zamilkłe! o, wieczysty roku!
Gwiazdo udręki wygasła i chłodna,
Ziemio! podporo zbłądzonego kroku!

Jaki to kielich mamy wypić do dna.
Skłóceni wzajem i samotni razem,
Ponad przepaścią, która wszystkich głodna?

Krwią, ciałem, męką, prochem i żelazem,
Świstem, furkotem, gruzem i gromadą,
Strutą straszliwym pełzającym gazem,

Twarzą bolesną, skrzywioną i bladą,
Łzami i gniewem i snem i rozpaczą,
Klątwą i trwogą i kłamstwem i zdradą,

Słowami, które nigdy nic nie znaczą
Malowaliśmy obrazy żywota,
Aby widziały gwiazdy, gdy zobaczą...

Smutek niech gnębi i rozpacz niech miota!
Lęk niech przeraża i ból niech wykrzywia!
Skrucha biczuje i dręczy tęsknota!

Któż jest ten, który z oddali podziwia
To niewidziane srogie malowidło?
Czy wstręt go bierze? czy gniew uszczęśliwia?

Jeśli mu jeszcze dotąd nie obrzydło,
Niechaj je ogniem palącym oczyści,
Aby je spłoszyć, jak senne mamidło!

Chrystus! — czy po nim tylko antychryści?
Czy fala tylko ślimaki wyrzuca,
Jak drzewo wiatry obnażają z liści?

Świeżych powiewów pragną nasze płuca,
Wody ze źródła pić chcą nasze wargi
i słuch muzyki, którą świt wynuca...

Wciąż beznadziejne, załamane w skargi,
Ręce chcą pracy, a stopy już same,
Przez ustawiczne mylone zatargi,

Drogi szukają, aby wyjść za bramę,
Która zbawieniem, jak chlebem i solą,
Darzy wątpiących i karmionych kłamem.

Oczy od blasku, od ciemności bołą,
Widzą las rzeczy, dale wielokrotne,
Gdy je przesłania w męce pot na czole.

— Miasto tak ludne, jakże jest samotne!
Jakimże murem od świata odcięte,
W otchłanie tonąc prawie bezpowrotne?

Ani zbawione, ani też przeklęte,
Ani jest zimne, ani też gorące,
Chociaż otwarte, a jednak zamknięte!

Ani w niem księżyc oświeca, ni słońce
Mrowie człowiecze, podobne do cienia,
Który jest taki, jak innych tysiące.

Wrzawa tak wielka i tyle milczenia!
Światła na niebo rzucają bezsenne
Ostatnich spojrzeń ostatnie spojrzenia.

O co więc błagać tve serce promienne,
Duszo istnienia i stwórco zarania,
Nieogarnięty, jako światło dzienne?

Dusze zniszczone, jak stare ubrania,
Odśwież i napój tą wodą żywota,
Której stworzenie tve napić się wzbrania.

Mali jesteśmy, lecz wielka tęsknota
Serca nam szarpie i dręczy nas głodem
Groźnym, jak burza, słodkim, jak pieszczota.

Napój nas mlekiem i nakarm nas miodem,
Odziej nas w szaty piękne i dostojne,
Zmieszaj nas razem, czyniąc swym narodem,

Serca nam otwórz, ucisz niespokojne,
Nerwy nam zatruj, myśl osładzaj tęczą,
Niech oczy, które oglądały wojnę,

A nie płakały, więcej się nie męcza,
Lecz niechaj twoją sycą się nagością,
Którą nam ukaż, i skuj nas obręczą.

Odbierz nam wszystko, obdarz nas miłością.

MAHOMET

Nad meczetem półksiężyc rogaty
Sunie w chmurach, jak szkarłatna blacha,
A na niebie, otwartem w zaświaty,
Wielki cień dalekiego Allacha.

Turcja w różach rozkwita nad ranem,
Szkarłat wonną rozlewa się plamą,
Kiedy niebo, spowite Koranem
Jest chorągwią proroka islamu!

Tam na białym rumaku ucieka!
Z wiatrem biała rozwiała się grzywa, —
Ale czarna dogania go Mekka,
Mekka, — męka, męka prawdziwa.

W gwiazdach płaczą się włosy komet,
Zew daleki dźwięczy i woła...
Szablą siecze do krwi Mahomet,
Kiedy słyszy głos archanioła!

III

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

ODA DO NADZIEJI

Na szachownicy pól Galicji
I pod Verdun w świstaniu kul,
W częstych eksplozjach amunicji
Zdradzałaś lęk i kryłaś ból.

Gdy artylerji ciężkiej działa
Topiły szprychy w mule rzek,
Tyś tam patrzyła, tyś widziała,
Mieszając zimą krew i śnieg.

Armje, zmożone wiecznym głodem,
Za tobą szły do twoich wrót,
Gdy, pędząc chmury, mknęłaś przodem,
Zastygły drągiem rąbiąc lód.

I sierpem tęczy świszcząc w górze,
Którym pobudkę słodko grasz,
Ty jedna tylko wróżysz burzę,
Ożywczym wiatrem wiejąc w twarz!

Choraǳwie rąk tu tobie wieją
I usta śmieją się i drżą, —
Allons enfants!... tyś jest nadziejo!...
Ostatnia nasza Madelon!

Witaj, jutrzeńko, jasna siostró,
U nas, zbłąkanych w mroku dróg, —
Już słychać szum, ten szum przed wiosną,
I roztańczony tupot nóg.

Choć jeszcze nocy czarne smugi
Skrrywają ląd i wody mórz,
Lecz sunie już twój powiew długi
I zapach twój przynosi już.

Nadziejo, która śpieszysz z nożem,
By powieszonym przeciąć sznur,
Albo więźniowi każesz może
Paznokciem skrobać tęgi mur,

Która tonącym już okrętom
Na pomoc łódkę drobną ślesz,
Która radosną wieścią świętą
Rozbrzmiewasz ziemi wzdłuż i wszcz.

Nadziejo, która wzrok nędzarza
Ozłacasz swoim słodkim snem,

Która uwodzisz i obdarzasz
Imieniem i westchnieniem swem!

Rozstawiająca mądre sidła
Na bieg codziennych naszych spraw, —
Nadziejo, ty nam podaj skrzydła!
Nadziejo! ty nas jedna zbaw!

Kiedy nas zgnębi i gdy zmęczy
Ponury potwór ciężkich dni,
Niech błysnie łuk twej ludzkiej tęczy
Nad światem, który z tobą śni.

WARSZAWA

I.

Warszawo! w ciemny wieczór mglisty
W atramentowem mleku plam,
Twój mrok i błysk i blask świetlisty
O, jakże dobrze dzisiaj znam!
Twych aut i karet żółte igły
Przekłuwające wilgny cień,
Tramwajów rudych żywe śmigła
I trotuary, pełne drzeń
Pod miljonową tłumów stopą,
W zamęcie chlupoczących nóg...
O, azjatycka Europo,
O ten kamienny wsparta próg!

Pod matnią ulic rozpędzoną,
Jak konie pod świstaniem różg,
Oddycha ciężko twoje łono,
W wiślany zasłuchane plusk.
W srebrzystej rzeki ciemnej fali
Może odbijasz się z oddali,
Chłodzisz spieczone usta swe...

I ktoś przyjezdny, patrząc z mostu,
Pod deszczu słodką, wolną chłostą,
Warszawy naraz widzi — dwie.

Ta — wielka, skryta ciężką chmurą,
Jakby tająca wielki ból,
Patrzy stalowo i ponuro
Ze swoich betonowych pól,
I ciska w górę pychę pięter,
I na dół w skokach dzikich mknie,
By o uliczek wargi kręte
Otarły wody wargi swe.

A tamta, — zatopiona w toni
Obok zatartych mlekiem gwiazd,
Nie drży, nie krzyczy i nie dzwoni,
I jest najcichszym z wszystkich miast.
I w mętnych wodach włóczy cienie,
Rzucając z góry plamy skier,
I cicho, — chyba, że milczenie
Przerywa monotony szmer.

Ale, ty pierwsza i prawdziwa!
Pomrukiem twój oddycha kłęb.
I wiem, co w ciemni swej ukrywa
Niewyczerpana twoja głęb.

Wyrosła z wilgotnego gruntu,
Warszawo krwi! Warszawo buntu!
Warszawo sennych, głuchych mas...
Dziś już poznaję z oczu, z twarzy
Tych dzikich, tych — tych robociarzy,
Że już dojrzewa dla cię czas;
Że już ulica ciasna wzbiera,
Jak ziarnem napełniany wór,
I, — jak madame de Pompadour,
Mdlejesz, Warszawo Zmigrydera!...

2.

Ten deszcz bębniący w parasole,
Ten wiatr budzący w oczach łzy,
Na kamienistem domów czole
Piszą zgłoskami rudej rdzy.
Na jednym czytam słowo: krzyczę!
I widzę za plastrami szyb
Oczy, podobne oczom ryb,
Drgające skośnie w dźwięk muzyczek.
Na drugim — niepojęte słowa
Zakrywa welon gęstej mgły,
A w oknie ciężka łysa głowa
W uśmiechu złote szczyrzy kły.

Gdzieindziej napis: tu kabaret.
I widzę w czarnym tłoku karet
Figurek żółtych śmieszny rząd,
Nózkami macha i rączkami,
Wybiega, wbiega, staje w bramie
I spalenizny wdycha swąd.
Tam dalej — teatr, cyrk w pobliżu,
I słyszę sztucznych grzmotów strzał,
I widzę krzyż, — a na tym krzyżu
Ukrzyżowanych milion ciał.
I konie! konie w pędzie wściekłym
Obiegające przy nich krąg.
Arena, która zda się piekłem,
Szaleje trzepotaniem rąk.

3.

Warszawo! wierzę w wielkie drzenie
Twoich ukrytych w cieniu sił,
W twą moc, w twe piękno, — jak w marzenie,
Jak w rozpęd planetarnych brył,
Wierzę, — jak wierzę, że z pod gleby
Wychodzą na wierzch w ziarnach chleby,
Że z wyoranych pługiem bruzd,
Pod naszych butów ciężkim krokiem
Wytryśniesz, ziemio, mocnym sokiem
Dla umęczonych naszych ust!

Wierzę i widzę... Ach, mój Boże!
Ach, Boże rozhuśtanych mas!
Przelewających się, jak morze,
Rozszerzających się, jak las,
Pachnących dymem, krwią i potem,
W obłoku — opryskanych błotem, —
O Boże, czy ty jeszcze masz
Na ziemi bardziej wielką twarz?
Czy, jeśli wichrem pędzisz chmury,
Albo na pola ciskasz śnieg,
Nie jest-li żywioł twój ponury
Słabszy, niżeli tłumów bieg?
Niż trzepotanie rąk i ryk,
Jak ryczy oślepiiony byk,
Niż blask sztandarów, gdy w ulice
Czerwone ciśnie błyskawice?

Warszawo! senne twe ogromy,
Śpią jeszcze, skrzepłe w martwy ścisk.
Dziś tylko wiatr uderza w domy,
Dziś tylko drga ślepiący błysk,
I czasem dreszcz podziemny bierze
Tłumy chłonna potok wód, —
Jak w legowisku śnieżnym zwierzę
Lizę językiem ciepłym lód.

O MICKIEWICZU

Przyjechałem do Wilna — była późna pora,
Przez uliczkę drewnianą szedłem i pochyłą...
I naraz wszystko znowu tak samo, jak wczora,
Ostra Brama i miasto i wszystko, jak było.

Jeszcze lipy te same pachną też tak mocno,
Małe domki śpią, spokój wdychając szczęśliwy.
Tu składał do sztambuchu wiersze porą nocną
Kowieński nauczyciel, Mickiewicz prawdziwy.

FLAMMARION

Globus nieba gwiazdzisty,
Granatowa głąb-góra.
Roziskrzony i mglisty
Chronos chrapie na chmurach.

Uran ciemny już nurem
W drżący eter wkąpany,
Gra na strunach i wtórem
Chór wydzwania peany.

Oceanem, jak hory,
Suną w mrok nieustanny
Kwiat gwiazd — gwiazdozbiory:
Wóz, Łabędzie i Panny.

W środku kroplą błyszczącą,
Blaskiem pryska fosforu
Syrjusz mroźny i strąca
Białych cytryn kolory.

Mars miedziany w czerwieni,
Jak Assyryja waleczny,
Mgłę ceglastych promieni
Wlewa w wodę przedwieczną.

Głębia zimna oddycha,
Echem brzęczy po sferach, —
Ziemię śpiącą i cichą
W nieskończoność zabiera.

GÓRA

Góra przebodła chmurę,
Garbami wpięta w błękit.
Ponurym murem w górę
Dźwiga obłoczek mięki.

Czy tyle trzeba złomów
Głazów i głębi obok,
By w jarzmie pracy ogromów
Unieść tak mały obłok?

Patrzę, milczący w podzięce,
Na górę, spartą podemną,
I składam w olbrzymiej męce
Moją modlitwę kamienną.

I wiem: trzeba męki tyle,
I tyle trzeba miłości,
By dźwignąć przez jedną chwilę
Wiersz-obłok na wysokości.

Wczesnym porankiem czerwca,
Kiedy mokre zielenią się pola,
Zapiał mały śmieszny kogucik
Na folwarku Ładziejowska Wola.

Kukuryku po ogrodach,, po drogach,
Wiatr unosił, jak wołanie dziecka,
Aż odkrzyknął mu pyszny i w ostrogach
Kogut we wsi Wola Krzyszowiecka.

Słońce wstało, jak czerwono-złota
Pośród liści migocąca kulka,
Kiedy trzeci kogut zatrzepotał
W gminie — Mokra, we wsi — Boża Wólka.

Już błękitnie świtało na niebie,
W ciemnych stawach, w tataraku bulgotało,
Kiedy gdzieś tam czwartemu — dalekiemu
Na gałęzi zapiać się zachciało...

I krzyk, wiatrem rozdzwonił po drzewach,
Tęsknie szukał czegoś w polu i latał...
I już tylko jeden kogut śpiewał
W gminach wszystkich, wioskach i powiatach!

Czerwiec wiatrem mokre kwiaty opłynął,
Rozpryskany w złocistym bezkresie, —
I jarzyły się w słońcu jarzębiny,
I hukalo coś, wołało po lesie.

NAD MORZEM

Na łące morza morskie konie
Wysoko skaczą, wesoło rżąc.
A słońce słońce w zielonem tonie,
Rozpryskiwane w tysiące słońc.

Ciężkie balony zgęstniałej pary,
Kryształy wodne, jak płynny lód,
Wodorotlenów rezerwuary —
Ta woda, woda, ta woda wód.

Krowy, niedźwiedzie i lwy żywiołów
Ryczą, spalone falami sił.
Mewy, jak stada morskich aniołów,
Dzioby wdziobują w pachnący ił.

Okręt okręca wodę śrubą,
Świdrując szумы śmietany pian.
Tak świeżo zagli pijanym czubom
Pod niebem czterech powietrznych ścian!

Na łące morza konie morskie
Parskają, rżą i grzbiety trą
O wiatrów ostrych grzywy szorstkie,
Lub murem w norach trawę żrą.

Krzykliwy złoty kogut-dzień
W uliczkę sfrunął dziś od rana.
O, ileż nieuchwytnych drzeń!
I jaka radość niesłychana!

Na oknach zapał: link-le-tam!
Ziarnko jęczmienia dziobnął w niebie,
Słońce mu farbą jasnych plam
Rozczzerwieniło pyszny grzebień!

Frunął na dach i cicho siadł
Na rozwalonej domu ramie,
I okrył niespokojny świat
Trzepocącemi skrzydełkami!

A potem pęczniał, pęczniał, rósł,
Aż, upojony własną bajką,
Każdemu niespodzianie zniósł
Szczęścia różowe, żywe jajko!

SZACHOWNICA PRZYJAŹNI

Napewno jesteś dzisiaj śpiący lub pijany:
Kiwasz się, nucisz, mruczając, wychylon z pod ściany.

Czarno biała tablica, pokrajana w kraty,
Napewno jest ci oknem otwartem w zaświaty

Stawiasz na niej figurki z drzewa, śmieszne, małe,
Pchając je w posunięcia śmiałe a zuchwałe.

Żołnierze twoi bitni i masz ich tak wielu...
Śmiejesz się, jak manekin, ze mnie, przyjacielu!

Czarne wieże, jak wozy, jeżdżą tam-napowrót,
Ach widzę, że mnie wchłonie zawiły kołowrót!

Szach! blada cesarzowo, stojąca na boku...
Wiem, że jesteś z hebanu i masz łezkę w oku,

Lecz twe konie tratują, rżą, skaczą i gonią, —
Królu, nie krzycz tak! nie krzycz, królu z ranną
skronią!

Ja, gwizdząc marsyljanke, dziś już ci nie grożę:
Upiłeś się zwycięstwem swem, — triumfatorze!

Zaraz ci się rozpadną kraty i kwadraty:
Nieskończoność z hałasem wpadnie do komnaty.

MOJA MODLITWA

Słowa odłożę,
Nic nie pomogą,
Słowa są różne
I mam ich dość.
Pozwól mi, Boże,
Iść swoją drogą:
Jestem podróżny
I muszę dojść.

Nie chcę nic więcej,
O nic nie proszę,
Jedna jest chwila:
Nie trzeba słów.
Rozkładałam ręce,
Oczy podnoszę,
Usta rozchyłam,
I czekam znów.

NIEBO I ZIEMIA

1.

Wszystkie miasta zawyły w miedź,
jak koguty, zapiąły nieznanym śpiewem!
i w oknach poczęło nagle rzeć
kwiecie chorągwi i chorągiewek.

Konnica wpędzała obłoków kurz
w trotuary, stojące na uzdach dęba!
i krzyk nam otwierał usta, jak nóż,
który wsadzą martwym w zęby.

Bruków ciężki, poorany grzbiet
wyginał się i wił się w zdrapanej łusce...
i baba miasta dzwoniła, jak flet,
płakała i jęczała w kraciastej chustce...

Białe lilje wpychano do gardła luf
i śpiewano, śpiewano, śpiewano wiele — —
jak w balji, rozmydlały się banie głów
i na dworcach, jak grzyby, pęczniały kapele.

Do nozdry wiatrem wpędzało swąd,
zatrzaśniała się ciężka pokrywa nad skrzynią,
— — a tam w dali wydłużał się i wydłużał się front,
i wydłużał się cienką wijącą się linją...

Tramwaje dzwoniły, ramionami szyn
rzucając się na szyję miasta spuchniętą.
A niebo opływało krwią, — jakby w nim
wyostrzoną szablą jagnię zarżnięto.

2.

A potem wagoniki duszne, jak worki,
turkotały, trzeszczały i staczały się wprzód, —
mknęły piątki, soboty, niedziele, poniedziałki i wtorki,
jak sypiący się przez szparę drobniutki śróć.

Parowozy, rozpychając łokciami parę,
pędziły po szynach, szalone, głową w dół.
Otwierały się pola wywrócone, dalekie, szare,
cały świat się napełniał szarpaną melodią kół...

Po śród buraków piało jakieś wiejskie podwórko,
rude psisko do góry podnosiło kudłaty łeb. —

I za chwilę znów słycać było ten turkot,
i za chwilę znów słycać było ten szept...

W wagonach jadą żołnierze, żołnierze, żołnierze,
tylu żołnierzy jedzie w wagonach i słyzy świst...
I każdy — (tylu żołnierzy!) — na zmiętym papierze
pisze, wiadomo do kogo, bardzo maleńki list.

I listy jadą z powrotem, jadą z powrotem tą drogą,
tą samą drogą, tą samą, dochodzą do domów i ust.
Każdy oddzielnie pisany (wiadomo do kogo)
do żon, do dziewczynek, do matek — z ukłonem dla
sióstr.

A gdy przyjadą, — ujrzą, jak jeszcze na górze
tłuste chmurzywo strumieniem wypuści ból.
I zorza w czerwonej kokardce na nieba gardziołku
kurzym
pozwole się łechtać piórkami cieniutkich kul.

3.

Pocisk trzepotał, śpiewał, nim spadł,
pekł, — i niewiadomo gdzie się podział.
Gdy na dole trupem miękim się kładł,
następując za oddziałem na oddziały oddział.

Tęskniąc, armata podnosiła ramię wzwyż,
zdawało się, że o blachę nieba się oprze,
choć opasały ją i oplotły na krzyż
okopy, biegnące na prawo, na lewo i w poprzek.

Ołowiane moskity kąsały w twarz,
odgryzały powieki, wargi i nosy!
jak szczeniaki, szarpały plecak i płaszcz
pod niebem wypukłem, jak oko, — i bosem.

Mały punkcik, jak drucik skręcony, się wił,
(ta kruszynką wygłodzonych armat nie nakarmią!)
podczas, gdy oderwane ręce i nogi w tył
maszerowały z okopów oddzielną armją.

Czerniały oczy i język wypychał się w krtań
pod zielonym zapachem pełznącego po ziemi gazu.
Kleszcze nie wyciągały z piersi stygnących łkań,
kiedy pod niebem tańczył granatów mazur.

4.

Żołnierzy płyną bataljony:
maszerujemy szlakiem dróg,

i ciało gleby wśród zagonów
ubija łoskot naszych nóg.

Wrzawą i w żyłach żywym wrzeniem
zgłuszamy huk łamanych drzew,
nasze olbrzymie dymią cienie
przez niebo, rozkrzyczane w śpiew!

O Boże! — spłyn potokiem rwącym
na rozhuśtany w pochód las!
i nieba płachtą niebieszczącą, —
chorągwią swoją, — owiń nas.

KOSZARY

Żołnierzyki, odlane ze srebrzystej cyny,
Czyszczą lilje, wetknięte w czarne karabiny.

Po nocach bęben! musztra, i w górze zapala
Księżyc swój bagnet, — jasny, jak guzik kaprała,

Na podwórku w szeregach z trąbkami biegają,
A kapelmistrz w powietrzu chwije się, jak jajo,

I woła: „hurra, chłopcy!“ zielone mundurki
Niżąc sobie na sznurek, jak tłuste ogórki.

Rączkami macha, ciągnie, gniewa się i krzyczy,
Aż zasną, chrupiąc głośno, na niebieskiej pryczy.

POŻEGNANIE

Otyła baba na dworcu płacze:
„Ach mój maleńki! ach mój jedyny!“
Pociąg czerwony syczy i skacze,
Ciągnie maszyna szynom na szyny.

„Stokrotko moja!... mój ty caleńki!...
Cóż teraz pocznę sama do zgonu?“
On łyzy rękawem ściera z powieki, —
Sierżant wąsaty z okna wagonu.

Pchają się, tłoczą, tysiąc tłumów,
Drogę zagradza chusta kraciasta.
Babę trącają ze wszystkich boków,
Baba otyła wraca do miasta...

„Moja ptaszynko!“ — woła ją z dali,
Pięścią jej grozi, — jedna pociecha.
Wbiegli, świsnęli, chustką machali
— Pociąg odjechał, odjechał, odjechał...

MARJA

Tarzali się, pijani po krwi, jak po wódce...

Był sztab w hotelu „Pod wiosną“. Lipy pachniały
i bez.

— Przepraszam... muszę natychmiast zobaczyć pana
dowódcę, — —

Przybiegła drżąca, i oczy i głos, zapłakane od łez.

Oficer. Mundur z bagnetem. W papierach czekać
i szperać.

— Czem mogę służyć? Krew bije do głowy, wraca do
nóg.

— Proszę... ja proszę.. ażeby więcej nie było strzelać..
Mój narzeczony jest chory, razi go łoskot i huk

Nie tylko ten, — ale wszyscy! — ja tysiąc mam
oblubieńców

Ojców i synów tysiące i braci więcej, niż stu!

Uwiłam nocą tak wiele żalobnych i ślubnych wieńców,
Chciałam... nie mogłam ich przynieść...

chciałam położyć je tu.

Księżyc, — czerwony balonik, — skakał po dachach
na mieście,
Armaty w nieskończonościach rozbiły ostatnie drzwi.
Oficer — krzyżem na ziemię! płakał: o jesteś nareszcie,
Marjo, czekałem tak długo...
Widzisz, sam jestem bez krwi.

PRZEDŚPIEW

Jedna łza, — bardziej gorzka, niż piołun,
Jedno słowo, — straszniejsze, niż wszystkie,
Jedna wielka modlitwa, — jak piorun,
Może w ziemię uderzyć pociskiem,
Zgłuszyć gromem i oślepić błyskiem,
Błyskawicą bożego koloru!

Ale gdzież jest i łza i modlitwa?
I gdzie słowo, które się wyrzekło,
Między niebo rzucone i piekło,
Niecierpliwe, tragiczne, jak bitwa?

Łzy, którymi prawdziwie się płacze,
Sny, do których na jawie się tęskni,
Wszystkie szczęścia i wszystkie rozpacze,
I triumfy zwycięstwa i klęski

Ośmieszono, shańbiono i zdarto,
Jak chorągiew, zabraną u wrogów!
I już siebie się w sobie zaparto,
I zwątpienia, albo wiary w bogów.

Już miłością nazwano namiętność,
I sukcesem nazwano zwycięstwo,
I nienawiść szlachetną, jak męstwo,
Zamieniono na pół-obojętność.

I już serca są puste i piersi,
Już świat mały o wielkość nie błaga, —
Ale w życiu kryjąca się błaga
Nie dotknęła tylko jednej śmierci.

Ona jedna łzy z oczu wyciska,
Ona jedna, naprawdę przeraża.
Ach, ten upiór z martwego cmentarza
Idzie w wasze żywe cmentarzyska!

Ale my chcemy życiem uderzyć,
Żeby z życia znów życie wycisnąć,
Żeby w życie za życia uwierzyć
I słowami żywymi zabłysnąć!

Dniu powszedni! dniu pracy! dniu znoyny!
Podaj rytmy głębokie mej pieśni, —
Chórem nuć mi ludzie boleśni,
Kiedy ja jestem taki spokojny!...

BALLADA O LOTNIKU I GÓRNIKU

LOTNIK:

Pruje niebieską przestrzeń
Biały, błyszczący samolot.
Powietrze!
Powietrze!
Powietrze!
Po wietrze mój lot i polot!

Śmigło, — warczące wiosło,
Wkręca się w żywioł wiejący.
Sunę prosto i prosto,
Prosto
Na wiatr i na słońce!

Płaszczyzny sztywne, rozpięte,
Krają powietrze, jak masło,
Ślizgiem,
Przelotem,
I pędem!
A w dole las, albo miasto.

Jak drobny wężyk strumyka,
Srebrna, ogromna rzeka już blisko.
Miga podemną i znika
Tłum, jak mrowisko.

Skrzydła mam silne — stalowe,
Błyszcze, olśniewam i świecę.
Kto patrzy na mnie — zadziera głowę,
A ja — lecę,
Lecę,
I lecę!

Turkoce motor po szosie sinej
I płoszy ptaki obok obłoków.
Obłoki — góry śnieżnych potoków,
Obłoki! Obłoki!
Przestwór wysoki!
Pod którym płynę,
Płynę!

GÓRNIK:

Górze do głębi drążę,
Biję oskardem,
Palcami rwę.
Pracuję, ledwo nadążę,
Skorupy przebijam twarde,
Do głębi, do głębi prę!

Ciemny korytarz żłobię,
Duszno i ciężko
Pod wielką górą. —
Lotniku! co mi po tobie,
Sprzedanym wichrom i chmurom?

Nie widzę ciebie,
Nie widzę nieba.
Komu na niebie
Ciebie potrzeba?

Czy, lecąc górnice,
O mnie się pytasz?
Zejdź w mój korytarz,
Ja jestem górnik.

Nagi do pasa i czarny,
Zgrzany w piekielnym upale,
W opór, w kamienne ziarno,
Walę!
Walę!
Walę!

Dzień mój jest nocą,
Lecz nie znam gwiazd.
Sztuczne latarki migocą
Dla w głębi ukrytych gniazd.

Nie znam przestworza,
Nigdy nie latam,
Stalą kamienne otwory drażę.
I myślę — może po latach
Dotrę, a może nie zdążę?

Muszę przekopać najwięcej,
Ciężary największe znieść.
Wtedy zdobędą znużone ręce
Ziemi najgłębszą treść.

Głębie nieznane otworzę,
Wyrwę, wytoczę, zdobędę,
Jak nurek, spuszczone w morze,
Głębin legendę.

JA:

Z tobą, lotniku! chcę ziemię minąć,
I lecieć w górę,
Tam — ponad chmurę
Lot swój kierować i płynąć.

Z tobą, górniku! wdrażę się w głębie,
Oskard ze stali w skałę uderzy,
Ogień wykrzesze w podziemnej wieży,
Ja zejść głębiej i głębiej.

<http://rcin.org.pl>

Lotnik za chwilę z oczu mi pierzchnie,
Górnika w głębiach wypatrzeć trudno.
Z ludźmi po ziemskiej błędę powierzchni,
Widzę ją — wielką i cudną.

Dokąd mnie droga zawiedzie?
Jaka myśl zmierzyć ją mogła?
— Siedzmy spokojnie, sąsiedzie,
Ziemia jest przecież okrągła.

POETA I PUBLICZNOŚĆ

POETA:

Moje słowa są dla was zbyt wiele,
Jak reflektory dla oczu ślepców, —
Chociaż błyskają i grożą wiecznie,
Że runą na was i zdepcą.
Moje słowa rodzą się ciężko
I narastają powoli.
Ubite są każdym ciosem i klęską,
Kiedy mnie rwie i podnosi i boli.

Bo nie śpiewam, jak słowik, ani
Jak flety, przez które dmą!
We mnie tym śpiewem, tem graniem,
Jak w morzu, oddycha dno.

Muszę długo przemilczać i czekać,
Wypatrywać poranki, wieczory,
Aż wypłynie, wychlusta się rzeką
Jedno słowo, którym jestem chory.

Chociaż jest obco i pusto,
Chociaż was przy mnie niema,
Ale słowa rozpychają mi usta,
Kiedy wasza boleść jest niema.
Dlatego śpiewam za was i śnię,
Dlatego za was mam serce z najłodszą ciążą.
Wściekłe lokomotywy wyrzucam w pościgu na
dnie.
I może, gwizdząc, z tęsknotą na was podążą!

A czasem przed wami tańczę,
Ażeby wżyć się w życie, —
Bo wiersz muszę dłużej, niż matka dziecko,
wyniańczyć,
Żeby mógł pójść i sam za siebie bić się.
Nauczę się mówić prościej,
Nie znam sonetów i tercyn, —
Mądrym żądłem swej chciwej miłości
Zmierzam ku sercom!

PUBLICZNOŚĆ:

My to już wszystko znamy!
Nie dziwi nas twoja zhora.
Jesteśmy dzisiaj ci sami,
Którzyśmy byli wczoraj.

Masz ładne słowa — dla ucha,
Perłą się barwne, jak pawie.
Możemy ich czasem posłuchać
Przy czarnej kawie.

Dziś, gdy nas szarpie zębami
Potwór codziennej troski,
Nie chcemy igrać wierszami
I liczyć napróżno zgłoski.

Dość, że zmęczone spojrzenia
Rzucimy na ekran niebieski.
Ciekawszy jest taniec cieni,
Niż twoich słów arabeski.

Ale nie myśl tak bardzo źle!
Też mamy smutki i znamy radości ostrze.
Tylko na szarem tle
Tak bardzo trudno je dostrzec.

Czytaliśmy niegdyś Byrona
I wiemy kto Goethe i Szekspir!
A po nich każdy, kto do nas
Przemawia, — zawsze jest kiepski.

<http://rcin.org.pl>

POETA:

Muszę bez przerwy umierać,
Ciągle na nowo się rodzić.
Wołam i krzyczę: przyjdź!
Jak tonący na ulicach w powodzi.

Chcę, by podano mi ręce,
By razem ze mną zapiano rano kurantem!
Bo, wiedzcie, cierpię nad każdym słowem więcej,
Niż nad swem piekłem wycierpiał Dante.

Chcę, by słuchano ze mną, gdy grzmi,
I kiedy cisza rozlewa się na nas biała.
Oto otwierają się w górze drzwi,
I wchodzi przez nie każdy, kto ogniem zapala.

Dosyć mam westchnień i łez,
Powietrze puste i ciężkie się sparło.
Zbyt długo samotność, jak wściekły pies,
Szarpała mi ostremi zębami gardło!

Zapatrzyłem się w wasze dnie,
W haussy i baissy akcyj, —
Ale stokroć piękniejsze są w rannym śnie
Opary z mokrych akacyj!...

<http://rcin.org.pl>

W południe wywala giełda,
Ryczy, jak krowa, na każdym skręcie.
A czy wiecie, że wtedy słońce
Wygląda, jak cienki pręcik?

A czy wiecie, że wtedy świat
Roztopia się w różowym i białym dymie,
I dzwoni, jak wspomniane z przed lat
Kobiece, kochane imię — ?...

Nie widzicie, nie chcecie znać, —
Bo cóż was obchodzą drzewa, obłoki i tęcze?
Ale przecież i wy potraficie łkać,
Kiedy was już za bardzo zmęczy...

PUBLICZNOŚĆ:

Dziwna dla naszych uszu
Jest twoja zawiła mowa.
Przecież wiesz, że mogą nas wzruszyć
Związane rymami słowa.
Słów śladu — o, nikt nie zatrze!
Sztuka jest nazbyt szczerą.
Dlatego klaszczemy w teatrze,
Gdy ktoś umiera.
Za wiele już mamy udręki,
Chcemy ją pokryć szarością.

Nóż, który wypadł z twej ręki,
Serca i usta nam rozciął.
Idź precz! zamknięty w samotni,
Możesz wyśpiewać co chcesz.
Ale już nas do krwi nie potnie
Twój gniewny dreszcz.
Uciekniemy! nim wzrok twój przewierci
Zapalone gwiazdne wysokości...

POETA:

I spotkamy się w godzinie śmierci,
Albo w godzinie miłości.

<http://rcin.org.pl>

SPIS RZECZY

I

	str.
Gospodarstwo	7
Rzemiosła	9
Szewc	11
Krawiec	13
Malarz	15
Zegarmistrz	17
Stolarz	19
Kowal	21
Piekarz	23
Prometej pracy	25
Las	29

II

* * *	33
Jeżelibyś mnie spytał...	35
Leonardo	36
Gotama	37
Czyściec	39
Mahomet	46

III

	str.
Oda do nadziei	49
Warszawa	52
O Mickiewiczu	57
Flammarion	58
Góra	60
Polska	61
Nad morzem	63
Dzień	65
Szachownica przyjaźni	66
Moja modlitwa	68

IV

Niebo i ziemia	71
Koszary	76
Pożegnanie	77
Marja	78
Przedśpiew	81
Balada o lonitku i górniku	83
Poeta i publiczność	88

INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
 Biblioteka
 ul. Nowy Świat Nr 72
 00-430 Warszawa
 Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42
<http://rcin.org.pl>

F

346